

PAWEŁ MARGUERITTE.

## CZARNA KSIĘŻNICZKA

28

(Ciąg dalszy).

W tych szybko następujących wypadkach czuł jego rękę, choć nie mógł jasno zdać sobie sprawy, w jaki sposób markiz je wywołuje. Z myślami temi przemęczył się doktor Morane całą noc. Gdy rano weszła do pokoju Emilia i podniosła rolety, zawołała przestraszona:

— Ależ pan jest bardzo chory!

— To nic Emilio, trochę gorączki.

— Jakto trochę? Jest pan cały czerwony, jakby panu groziła apopleksja.

— Nie... co znowu — rzekł ciężko oddychając.

— Pan się zaziębił. Trzeba wziąć synapizmy.

I nie zwlekając, wyszła natychmiast, a po chwili wróciła z przyrządzonym plastrem, który położyła swemu panu na piersiach.

— Dziękuję Emilio, to nic, przekonasz się.

Spojrzała na stół.

— Jakto! To pan nic nie jadł, ani nie wypił. Nic dziwnego, że nie mógł pan się rozgrzać.

— Już mi lepiej, daleko lepiej — szeptał doktor, który przedewszystkiem bał się gderania starej gospodyni.

W chwili tej wpadł siostrzeniec doktora, Piotre Matres, który po krótkich oględzinach postawił od razu dyagnozę: zapalenie płuc.

— Mój drogi... idź naprzód do zamku — mówił szeptem głosem doktor — pani Morailles...

— Niech wuj o niczem nie myśli, już dałem znać...

— Zastąpisz... mnie...

— O, pan markiz zajechał konno — odezwała się Emilia, spoglądając przez okno.

— Wuj nie może go przyjąć teraz — zdecydował siostrzeniec doktora.

— Nie, nie, niech wejdzie, chcę z nim mówić.

## XXIV.

## DOBRY ODCHODZA.

Pan Morailles wszedł do pokoju. Na widok leżącego w łóżku doktora chciał się cofnąć.

— Nie wiedziałem... Doktor jest chory? Przepraszam...

— Nie, nie, niech pan zostanie... Słucham...

Markiz spojrzał mimowoli na Piotra i jakby szczerzy wzrok, otwarta twarz młodego lekarza żenowały go, odwrócił oczy w drugą stronę. Piotr zrozumiał to i ulegając słabemu znakowi swego wuja, wyszedł.

— Nie chciałbym pana fatygować — rzekł markiz z pewną niechęcią, przeczuwając niepowodzenie — lecz zdrowie pani Morailles wymaga przedsięwzięcia natychmiastowego pewnych środków...

Zatrzymał się... czuł na sobie szlachetny, przenikliwy wzrok doktora. Po chwili zaczął dalej niepewnie:

— Doktor Saffroy, który przybył wczoraj z Paryża, by naradzić się z panem i który żałował bardzo, że pana nie zastał, przestraszył się bardzo halucynacjami żony.

— Tak, lecz on nie zajmował się stale chora, jak ja, który znam markizę od lat dwudziestu — rzekł doktor Morane.

— Jego sława jako neurologa nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Morane zrobił ruch, że temu nie przeczy wcale.

— I co doktor Saffroy sądzi? — zapytał z lekką ironią.

— Chce to sam panu powiedzieć dzisiaj wieczorem. Uważa, iż stan żony wymaga zupełnego odosobnienia i specjalnego leczenia.

— Zawsze to samo myślałem i jeżeli pan pyta się o moją radę, powtarzam, niech pani Morailles wyjedzie w dłuższą podróż, przeniesie się do innego klimatu, gdzie wkrótce powróci do zdrowia. Choroba ta jest przejściowa,

— Doktor Saffroy, który specjalnie zajmuje się chorobami umysłowymi, twierdzi — pozwoli mi pan to powiedzieć — zupełnie co innego, mianowicie iż te halucynacje zdradzają długotrwałe zaburzenie zmysłów, iż zaczęło się ono już dawno, tylko obecnie dopiero przyjęło ono tak zastraszające rozmiary.

— Wzburzenie nerwowe pani Morailles nie wywołuje wcale potrzeby umieszczenia jej w domu zdrowia.

— W takim razie — rzekł oschle markiz — pańskie zdanie jest zupełnie przeciwne temu, co mówi doktor Saffroy.

Morane patrzył mu prosto w twarz, chcąc odgadnąć zamysły, jakie knuje przeciw żonie.

— Moje sumienie lekarskie nakazuje mi zaprotestować stanowczo przeciw wszelkiej kuracji, kępującej wolę pani Morailles. Gdy zazna zupełnego spokoju duchowego, powróci do zdrowia. Dlaczego pan się nie chce zgodzić, by markiza wyjechała razem z państwem Le Chars, którzy są tak do niej przywiązani?

— Doktor Saffroy...

Morane zawsze tak cierpliwy i łagodny, przerwał ostro:

— Dlaczego wobec tego zwraca się pan do mnie, kiedy pan zaufał komu innemu?

Pan Morailles odpowiedział z uśmiechem, starając się być miłym:

— Ależ, drogi doktorze, cóż znowu, przecież pan jest więcej dla nas niż lekarzem, uważamy pana za przyjaciela. Przypuszczałem, że pana dyagnoza potwierdzi zdanie Saffroy'a i właśnie do pana, jako starszego, zwracam się w mej boleści z prośbą o potwierdzenie dowodu koniecznego do internowania żony w zakładzie.

— Co? Do jej internowania? — oburzył się doktor. — I do mnie pan z tem przychodzi? Do mnie, mimo że ja jako człowiek i lekarz uważam to za zbrodnię! Do mnie! Niech pan idzie szukać innych współników swej niegodziwości.

— Pan się myli, pan mnie nie zrozumiał — mówił markiz, hamując swoją złość.

— O tyle pana zrozumiałem, iż przestaje być lekarzem pańskim. Noga moja nie stąpi już w zamek.

— Żałuję bardzo — rzekł markiz powstając do wyjścia.

— Nie jestem pańskim lekarzem, ale pozostaję człowiekiem, który pana sądzi... który...

Silny kaszel przerwał mu mowę, wstrząsając osłabionem ciałem.

— Jest to zbrodnia zamykać żonę i pan za to odpowie... Teraz proszę wyjść stąd!

Pan Morailles z wściekłością patrzył na tego starca, który z wyczerpania opadł na poduszki z zamkniętymi oczyma, jakby już na nich śmierć siedła. Obrócił się i wyszedł pocichu. Na schodach spotkał Piotra.

— Boję się, czy nie zbyt zmęczyłem pańskiego wuja; niech pan idzie prędko; zdaje mi się, że źle oddycha.

W chwilę potem Piotr cucił starca z omdlenia, w jakie wpadł wskutek zdenerwowania.

— Piotrze — rzekł urywanym głosem — nie chodź już do zamku... Nie pójdziemy tam... już nigdy...

Głos mu się załamał, z oczu popłynęły łzy na myśl, iż jest bezsilny i nie może przeszkodzić spełnieniu tak wstrętnej zbrodni. Lecz gdy wyleczy się, gdy odzyska siły, będzie walczył, by wydobyć nieśczęśliwą ofiarę z tego więzienia.

Próżną jednak miał nadzieję. Mimo wszelkich wysiłków Piotra, starzec ginął. Gdy Saffroy przybył do zamku, nie potrzebował już radzić się swego starszego kolegi. Doktor Morane już nic nie widział ani słyszał; dobie jeszcze walczył ze śmiercią.

Gdy Piotr zamknął oczy swemu wujowi, a Joanna złożyła przy zwłokach pęk kwiatów, los Aurory Morailles był już zdecydowany. Doktor Saffroy sam zreagował i podpisał odpowiednie świadectwo, na mocy którego markiz mógł umieścić żonę w domu waryatów.

Pani Le Chars od przybycia służby doktora Cruxa, była trzymana zupełnie na uboczu. Przyjęto jej pomoc przy przenoszeniu Aurory do innego apartamentu, położonego daleko od pokoi, jakie zajmowała Joanna, ale na tem też ograniczyła się uprzejmość, przysłanej przez Cruxa *nurse*.

Ta *nurse* zwana panią Rock, była wysoką kobietą o surowym wyrazie twarzy, z miną purytańską, o postawie grenadyera. Gdy po przeniesieniu Aurory Joanna znowu zjawiła się przed jej pokojem, spotkała się z nieugiętością pani Rock.

Rozkazy doktora Saffroy sprzeciwiają się temu, Zabronił na dzisiaj chorej wszelkich wizyt, nawet pana Andrzeja. Postanowienie to odnosi się również i do pana markiza, który się temu poddał.

Gdy Joanna [zadziwiona tem i obrażona] domagała się wpuszczenia, infirmerka zawołała swego pomocnika, błędnego mężczyznę, którego wypukłe czoło i wystający podbródek zdradzały wielki upór.

— Prawda, Iwonie, że rozkazy doktora Saffroy'a?...

— Są stanowcze — rzekł ostrym głosem pomocnik. — To jest zakaz.

— Doktor — raczyła dodać pani Bock — może

jutro go zmieni. Dzisiaj cała odpowiedzialność leży na mnie i na Iwonie.

Ze łzami w oczach usunęła się Joanna do swego pokoju. Żal i obawa serce jej przeniknęły na myśl, co stanie się z jej przyjaciółką. Dlaczego jej nie chcą wpuścić. Widocznem było, że rozkaz ten stosuje się głównie do niej. Godność osobista nie pozwalała jej dłużej tu pozostawać. Doczeka się jeszcze wieczoru, by rozmówić się z Saffroy'em, potem przekona się, co jej należy czynić. W tem wszystkim widziała rękę markiza, którego uważała za zdolnego do wszystkiego. Po obiedzie zwróciła się do niego, wyrażając mu, jak przykro zdziwił ją zakaz nie wpuszczania jej do pokoju chorej.

— Ten surowy rozkaz nie dotyczy tylko pani — odpowiedział. — Pomimo najserdeczniejszych uczuć, jakie pani żywi dla mej żony, nikt inny, tylko lekarze mogą teraz decydować o sposobie opieki nad Aurorą.

— Czy chce mi pan w ten sposób dać poznać, że moja obecność jest tutaj zbędna?

— Pozostaje pani gościem markizy i moim.

— Lecz jeżeli nie mogę czuwać nad Aurorą, jeżeli zabronione mi jest widzenie się z nią, nic nie usprawiedliwia mego tutaj pobytu.

Rozłożył ręce z gięstem bezsilności.

— Proszę wnieść za to doktora Saffroy. On decyduje o kuracji pani przyjaciółki.

Gdy przybył Saffroy, Joanna doczekała się końca jego wizyty i zadała mu to samo pytanie. Odpowiedział, trąc rękami i unikając jej wzroku:

— Muszę uwolnić chorą od wszystkiego, co jej przypomina dawne wzruszenia. Im prędzej o tem zapomni, tem też prędzej wyzdrowieje.

— A jeżeli będzie się o mnie pytała?... Niemożliwe, by nie chciała widzieć się ze mną...

Tym razem Saffroy popatrzył jej prosto w twarz, zdecydowany na zadanie stanowczego ciosu i uwolnienia się przez to od uciążliwych świadczeń.

— Istotnie, żądała tego, lecz na mój rozkaz odpowiedziano, że pani wyjechała, ponieważ pan Le Chars został zawezwany telegraficznie do Wenecji.

— Jakto, pan śmiał?...

— Obowiązki lekarza bywają nieraz okrutne, lecz to im pakazuje ich sumienie. Pani Morailles potrzebuje najzupełniejszego spokoju; pani ją kocha, rozumie też mnie...

— Nie — odrzekła Jeanna podniecona — nie rozumiem pana. Widzę tylko, co mi pozostaje uczynić. Wyjeżdżam...

Saffroy skłonił się bez odpowiedzi.

W dwie godziny potem Joanna, Ludwika i Jacek opuścili zamek, udając się na dworzec kolejowy. W Paryżu razem z panią Seymour naradzi się, jak ratować nieśczęśliwą przyjaciółkę.

Jacek patrząc przez okno w hotelu, zaklaskał z radości na widok wychodzącej z samochodu pani Seymour i jeszcze jednej bladej małej osoby, w której rozpoznał swą towarzyszkę z Wenecji, Gizele de Pre-Hautre.

— Mamusi! mamusi! Pani Seymour i Gizela!

— Nie można jej już nazywać, moje dziecko, Gizelą, gdyż takie imię dała jej tylko matka, a teraz ona mieszka z swym ojcem i nosi już własne nazwisko Made, Magdalena Mitre.

— Ja już wiem o tem, mamusi, tylko zapomniałem. Made jest i tak bardzo ładne imię.

Weszła pani Seymour i ucałowała serdecznie Joannę.

— Zabieram panią do siebie. Mamy wiele do pomówienia. Już pokoje dla pani są przygotowane.

— Ależ nie, zamieszanie...

— Jakież zamieszanie ma mi to sprawić? Będziemy przynajmniej razem przez cały czas, dokąd pani będzie tu pozostawała. List pani przestraszył mnie, musimy wiele rzeczy omówić.

Usunęły się na bok, by swobodniej, niesłuchane przez dzieci, zastanowić się nad wydarzeniami w zamku. Przez ten czas Made i Jacek w drugim kącie pokoju spoglądali na siebie z uśmiechem.

— Cieszę się bardzo, Made, że ciebie widzę. Czas wydał mi się taki długi.

— I mnie także...

— Jaką ty teraz masz poważną minę. I jesteś blada. Czyś nie była chorą?

— Nie, ale mój tatko jest bardzo chory. Mówią, że niedługo umrze.

Z pod powiek ukazały jej się łzy.

— O, nie, Made, nie umrze... Musi być bardzo szczęśliwy, że jesteś z nim.

— Tak... Ale moja babcia, przypominasz ją sobie, była na dworcu, gdyśmy przyjechali do Paryża.

— Tak, co?

— Zaniewidziała.

— Oh! wzruszył się Jacek.